DZWONKI

PISMO DLA DZIECI NIŻSZYCH KLAS SZKÓŁ POWSZECHNYCH



Pan Prezydent Rzeczypospolitej prof. Ignacy Mościcki

WARSZAWA ROK I
10
15 STYCZNIA 1938

PAN PREZYDENT

Dawniej byli w Polsce
króle, królewięta.
Dziś ma Polska nasza
swego Prezydenta.

Tak jak niegdyś króle,
dziś On rządzi krajem
i na Zamku mieszka
dawnym obyczajem.

Troszczy się o Państwo
i obywateli,
abyśmy oświatę
i dobrobyt mieli.

A więc prośmy Boga,
aby łaska święta
strzegła nam od złego
Pana Prezydenta!

M. PROKOPOWICZOWA



JAK TO MAŁY IGNAŚ NIE POSZEDŁ DO CERKWI

Małemu Ignasiowi Mościckiemu smutno było w Zamościu. Niedaleko, o trzy mile, zostali rodzice na wsi, w ukochanym Skierbieszowie. Tam można było hasać do woli po łąkach i polach, można było się bawić w Indian w jarach

leśnych. Tam siadywała w parku matka i takie piękne bajki opowiadała wieczorami, gdy skończyła się zabawa! A pod podwórzem tajemnicze lochy sprzed wieków...

Tu, w Zamościu, obcy ludzie i obca szkoła. Po polsku w niej mówić nie wolno, tylko po rosyjsku. I książki wszystkie obce, nawet religii katolickiej zacny ksiądz prefekt musi uczyć po rosyjsku, choć też jest Polakiem.

Dlaczego to tak jest? — myśli mały Ignaś i w sercu czuje bunt. Ach, gdybyż to można przepędzić stąd tych obcych urzędników, nauczycieli, oficerów, i żeby wszystko było polskie!

— Nu — mówi któregoś dnia dyrektor — a wy pamiętajcie, że jutro jest galówka, uroczyste nabożeństwo w cerkwi. Żeby mi się żaden nie śmiał spóźnić do szkoły.

Nie pójdę, nie pójdę — myśli sobie Ignaś z uporem. A jeżeli wyrzucą ze szkoły, to co? — przelatuje przez głowę inna myśl. — Chyba trzeba iść...

Więc idzie nazajutrz do szkoły, ale twarz ma mroczną i zaciśnięte usta. Prawie wszyscy koledzy też są jacyś mrukliwi i źli tego dnia. Wychowawca każe się im ustawić dwójkami i ruszają. Tu, na prawo, kościół katolicki, ale im każą minąć kościół i iść do cerkwi prawosławnej modlić się za ruskiego cara, co przemocą w Polsce rządzi..

Nagle czuje Ignaś, że to jest ponad jego siły. Nie może, nie może tam iść! Na rogu ulicy nic nie mówiąc skręca w jakąś bramę. a gdy koledzy go minęli, wraca na stancję.

Ale zauważono jego nieobecność, i gdy nazajutrz zjawił się w szkole, wychowawca kazał mu natychmiast stawić się w kancelarii inspektora.

— Dlaczego nie byłeś w cerkwi? — spytał groźnie inspektor.

— Jestem katolikiem — odpowiedział Ignaś patrząc mu w oczy — a to przecież cerkiew prawosławna.

Serce pukało mu ze wzruszenia i coś jakby mówiło cichutko:

— Tatusiu! Mamo! Przebaczcie, jeżeli wyrzucą ze szkoły, bo nie mogłem przecież inaczej...

Władze szkolne ukarały Ignasia, lecz ze szkoły go nie usunięto.

A dzisiaj, w tym samym gimnazjum, uczą się chłopcy po polsku w wolnej Ojczyźnie, a w parku szkolnym znajduje się tablica na pamiątkę tej chwili, gdy dziesięć lat temu odwiedził Zamość prof. Ignacy Mościcki — Prezydent Rzeczypospolitej.

E. G.



KRÓLEWSKI ZAMEK

Na Placu Zamkowym panuje duże ożywienie. Pędzą samochody, tramwaje, dorożki. Posterunkowy białą pałeczką reguluje ruch.

Jędruś z trudem wydostawszy się z tłumu dopadł kolumny króla Zygmunta III. Zatrzymał się na chwilę,

myśląc, jakby tu przedostać się do Zamku. Już zrobił krok na jezdnię, gdy usłyszał nad sobą głos:

— Hej, chłopcze, dokąd to biegniesz?

Zdziwiony Jędruś rozejrzał się w koło, ale nikogo nie ujrzał w pobliżu. Głos najwyraźniej dobiegał z góry. Zadarł więc główinę i patrzy. A tu król Zygmunt uśmiecha się przyjaźnie do niego i mówi:

— Do Zamku ci się zechciało, smyku? Tam, gdzie królowie dawniej przebywali, a teraz mieszka Pan Prezydent?

— A tak — odpowiada śmiało Jędruś — chciałem obejrzeć Zamek.

— Mądre pacholę z ciebie, jak widzę — powiedział król. — Warto obejrzeć Zamek, warto! Są tam piękne komnaty, stare sprzęty i kosztowne obicia. Jest wiele obrazów malowanych przez różnych mistrzów polskich i zagranicznych. A i z zewnątrz pięknie się Zamek przedstawia. Widzę stąd często, jak Pan Prezydent jedzie do Zamku wspaniałym samochodem, a z Nim wielu dostojników państwa i oficerów.

— Och, królu Zygmuncie — zawołał Jędruś — jakże inaczej wszystko wyglądać musiało za twoich czasów!

— O tak — odpowiedział król. — Cała Warszawa inaczej wyglądała za panowania mego i synów moich: Władysława IV i Jana Kazimierza. Nie znano wtedy samochodów, tramwajów i dorożek, a królowie i możni panowie jeździli wielkimi karocami zaprzężonymi w pięknie przystrojone konie. Ileż to razy zajeżdżały takie karoce do Zamku, a w nich siedziały postacie strojne w atłasy, adamaszki i pióra, lub w kosztowne futra z gronostajów, rysiów i soboli! Ileż to razy wjeżdżali tu wielcy hetmani, jak Jan Karol Chodkiewicz, Stanisław Żółkiewski i Stefan Czarniecki, oraz inni sławni rycerze! Hajducy na koniach torowali jadącym drogę. Nie było bowiem wtedy policji i tylko pachołkowie miejscy uzbrojeni w kije pilnowali,





aby się piesi nie kręcili po jezdni. Chodników też nie było wtedy, ani asfaltu i bruku. Piesi musieli przechodzić pod ścianami domów, aby nie dostać się pod koła pojazdów lub kopyta rumaków. Rycerstwo jeździło na koniach strojnych w bogate czapraki. Siodła i broń rycerska lśniły od drogich kamieni. Zaprawdę, piękny to był widok!

Wtem zadudniło coś po bruku. Od Krakowskiego Przedmieścia nadjeżdżał pułk szwoleżerów. Konie parskały raźno, barwne chorągiewki łopotały na wietrze, a jeźdźcy z radosna dumą siedzieli w siodłach prościutko. Jędrusiowi serce zabiło mocno.

— Królu Zygmuncie — zawołał — patrz, oto nasi wojacy! Czyż nie pięknie, nie rycersko wyglądają?

— O tak — odpowiedział król w zamyśleniu. — Przecież to polskie dzieci! Potomkowie tamtych, sławnych hetmanów i rycerzy. Potrafili wywalczyć sobie Polskę i na pewno potrafią bronić Jej wolności i wiary przodków swoich. Szczęść im Boże!

Tu król Zygmunt pochylił swój wielki krzyż, błogosławiąc polskim żołnierzom.

MARIA PROKOPOWICZOWA

ZIMA

Leci z nieba śnieżek, leci
i na drogach skrzy się, świeci.
Lecą gwiazdki i płateczki,
śnieg otulił gałązeczki.

Czy zakwitły może drzewa,
czy już ptaszek słodko śpiewa?
Nie, to śnieg ustroił w kwiatki
drzewa, krzewy i rabatki.

ZOFIA KELUS-LIPKOWSKA

O KURCZĄTKU SIEROCIE I O ŚWIERSZCZYKU

Pewnego dnia pastuszek przyniósł z lasu małe kurczątko. Nie wiadomo, skąd się tam wzięło; było wygłodniałe i zmokłe na deszczu. Gdy je pastuszek wziął na ręce, drżało z zimna i trwogi.

— Nie bój się — powiedział chłopiec gładząc obmokły szary puch ciepłego ciałka. — Zapewne się zgubiłeś, mój drogi. Chodź! Krzywdy ci nie zrobię, a tu cię jaki jastrząb, lis lub kuna zaraz wypatrzą. I tak się dziwię, że żyjesz.

Wziął ostrożnie kurczątko, włożył do płóciennej torby, w której nosił zwykle chleb, i wsunął za pazuchę. Ćwierkając cichutko pisklę po chwili usnęło.

W leśniczówce gospodyni ulitowała się nad biednym kurczątkiem. Musiała je odtad sama wychowywać, bo żadna z kwoczek wodzących swe własne dzieci nie chciała się zaopiekować sierotą. Zostało więc samotne kurczątko w chacie; spało na łachmanach usłanych koło pieca, dziobało białą kaszę i kawałeczki czarnego chleba. Wszyscy wołali na nie „sierotka". Przybiegało wtedy prędko, wskakując na kolana, czasami nawet zaglądając do misek i dziobiąc kruszyny rozsypane na stole.

Urosło wkrótce kurczątko i wypiękniało. Na szarym puchu pokazały się srebrzyste piórka skrzydełek, na głowie czerwony grzebyczek, a ogonek wzniósł się nieco do góry. Poznać już teraz było można, że to kogucik.

Pomimo jednak starań ludzkich było kurczątko smutne. Przez cały dzień słyszało się w chacie jego przejmujący, żałosny pisk, bo w miarę jak rósł, kogucik czuł się coraz bardziej samotny. Tęsknił do wspólnych zabaw z rówieśnikami na podwórzu, do dalszych wypraw za matką kurą. Zamiast tego musiał kogucik ciągle przebywać w domu: gdy tylko wyszedł na spacer, inne kury dziobały go i biły niemiłosiernie.



(D. c. n.)

ZOFIA KELUS-LIPKOWSKA

MRÓZ I LÓD

A ten siwy mróz
zaprzągł wielki wóz.
Dudu — du — du! Drogą jedzie,
zimny wicher gna na przedzie.
Z góry śniegi zwiózł
siwy starzec — Mróz.

A ten zimny lód
wodę w dłoniach zgniótł;
wstrzymał srebrny strumyk w pędzie,
już nam szumieć on nie będzie.
Skrył powierzchnię wód
bezlitosny lód.

AL. KWIECIŃSKA

NA TO, ZEBY POWSTAŁ BUT, JEST POTRZEBNY LUDZKI TRUD

Zagląda świt do suteryny pana Szewczyka. Narzędzia już się zbudziły. A zaczęty but leży spokojnie, na pana majstra czeka.




— Oj—przeciąga się nóż—czemuż to nasz majsterek jeszcze chrapie i chrapie?

— Bo długo w nocy pracował — odzywa się młotek leżący na kopycie.—Aaa... ziewać mi się chce... Za wcześnie mnie zbudziłeś.



— Śpioch z ciebie, mój młotku—woła szydło.—Wstawaj! Pokażemy panu majstrowi, że sami potrafimy pracować. No, młotku, nabijaj podeszwę i obcas! Nóż je poprzycina, a ja porobię dziurki, żeby dratwa mogła przyszywać. Reszta narzędzi niech sobie śpi. One są tylko od parady...



Ale andrus jak nie skoczy, jak nie krzyknie:

— A właśnie! Ja to do niczego niby jestem? A kto rozetrze glans na podeszwie, żeby błyszczała?



— Jak śmiesz mówić, że jestem darmozjadem od parady, ty szydło, co każdemu zbrzydło!—piszczy rolka.—Ciekawa jestem, kto na brzegu podeszwy karby wyciśnie!

A zaczęty but leży spokojnie, na pana majstra czeka. Tymczasem narzędzia gadają...

Wreszcie znudziło się butowi. Człapnął cholewą i odzywa się grubym głosem:

— Na nic wasze gadanie,
gdy człowieka nie stanie.
Bez majstra ręki i głowy
nigdy nie będę gotowy.
Na to, żeby powstał but,
jest potrzebny ludzki trud!

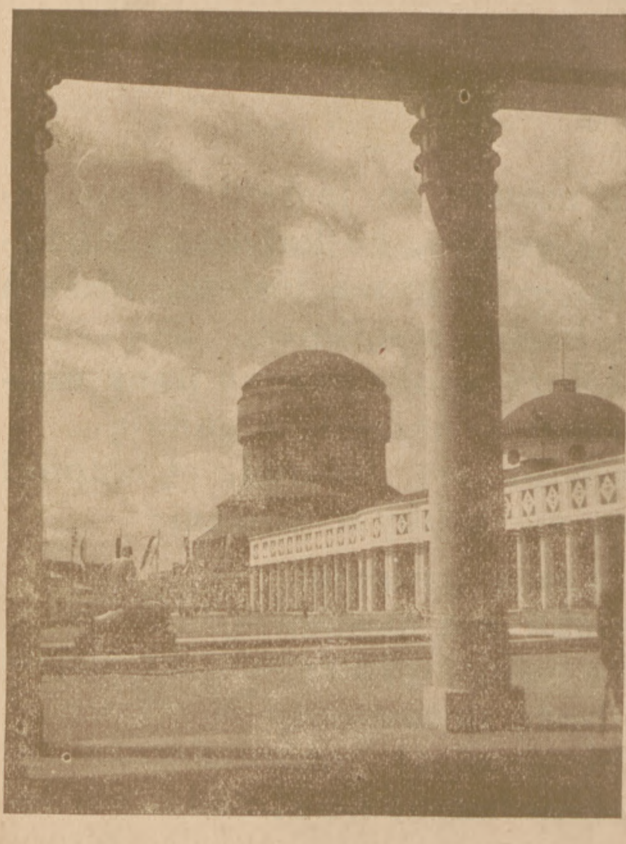
E. G.

WYCIECZKA TRAMWAJEM

Franuś po raz pierwszy spędzał wakacje zimowe u wujka w Poznaniu. Jechał do niego bardzo chętnie. Chciał poznać to miasto, o którym już tyle słyszał i czytał. Wiedział, że jest to miasto handlowe i przemysłowe, ale wiedział również, że jest bardzo stare. Przypominał sobie znane podanie o założeniu miasta, o poznaniu się Lecha, Czecha i Rusa. Wiedział, że tu właśnie kiedyś stał gród Bolesława Chrobrego, że tu zbudowano pierwszą świątynię chrześcijańską. Franuś słyszał też o Przemysławie, który przeniósł miasto na lewy brzeg Warty. Stąd też pochodziła dawna nazwa miasta: gród Przemysława.

Wuj mieszkał na przedmieściu Górczynie. Pewnego dnia zabrał Franusia na wycieczkę. Obaj wsiedli do tramwaju, do potężnego wagonu „czwórki", i pojechali do miasta.

Jechali długą, kilkukilometrową ulicą imienia marszałka Focha. Wzdłuż ulicy stały nowoczesne wielopiętrowe domy. Minęli najpiękniejszy park Poznania, imienia Wilsona, i prędko zajechali przed jakieś długie białe hale, wśród których wznosiła się kopulasta wieża.



— Wujaszku! a co to za domy?

— To są hale targowe.

— Aha, to tutaj odbywają się słynne Targi Międzynarodowe?

— Tak, a ten długi dom, wzdłuż którego jedziemy, to Hala Reprezentacyjna.

— O! Kościuszko! Z pałaszem i w sukmanie!

Okrzyk ten wyrwał się Franusiowi, gdy zobaczył



piękny pomnik tego bohatera narodowego.

Ale tramwaj jechał dalej. Franusiowi podobała się ta jazda, bo u niego na wsi podobnych wozów nie było. Co chwilę spostrzegał ciekawe budynki i pytał wuja:

— Wujaszku! A cóż to za dom z tym koniem na dachu? Jaki dziwny koń ze skrzydłami.

— To Teatr Wielki. Tutaj codziennie wieczorem mieszkańcy Poznania słuchają pięknej muzyki i śpiewu.

A tam z drugiej strony, ten duży, kamienny gmach, co wygląda ponuro jak twierdza?

— To Zamek. Niegdyś siedziba Niemców, a dziś...

— Wiem, mieszka tam Pan Prezydent, gdy gości w Poznaniu. Tramwaj wjechał tymczasem w najruchliwszą ulicę Poznania, zwaną ulicą 27 Grudnia. Tłumy ludzi przewalały się chodnikami. Na jezdni migały samochody jeden za drugim, Franusiowi aż się w głowie kręciło od tego ruchu.

Wreszcie tramwaj wjechał na szeroki i duży plac.

— To Plac Wolności — objaśnił wuj. — Wysiądziemy tutaj, bo przesiądziemy się do innego tramwaju, który nas zawiezie na Stare Miasto przed ratusz, a potem do katedry.



—Tymczasem —mówił wuj — rozejrzyj się dobrze, bo to najpiękniejszy plac Poznania.

— Jaki śliczny pałac!—zawołał Franuś.— A kto w nim mieszka?

— To nie pałca. To wielka biblioteka. I nikt



tam nie mieszka. Mieści się tam wiele, wiele książek, które ofiarował miastu wraz z gmachem Edward Raczyński.

— A ten gmach naprzeciw?

— To Bazar. Wielki hotel. Zbudował go dla kupiectwa i rzemiosła poznańskiego wielki syn Poznania, dr Karol Marcinkowski.

— A, słyszałem o nim. Był to wielki opiekun zdolnej a niezamożnej młodzieży.

— No to zgadnij, co też mieści się tam w tym dużym nowoczesnym gmachu.

— E, tu nie ma co zgadywać — zawołał wesoło Franuś.— Przecież wyraźnie pisze: P. K. O....

Tymczasem nadjechała dwójka. Wuj i Franio wsiedli do tramwaju i pojechali na Stary Rynek.

Tutaj pokazał wuj chłopcom stare jednookienne domki, przytulone do wspaniałego ratusza. Franuś mocno musiał zadzierać głowę, żeby przyjrzeć się orłowi na samym szczycie wieży.

— To nasza duma — rzekł poważnie wuj.

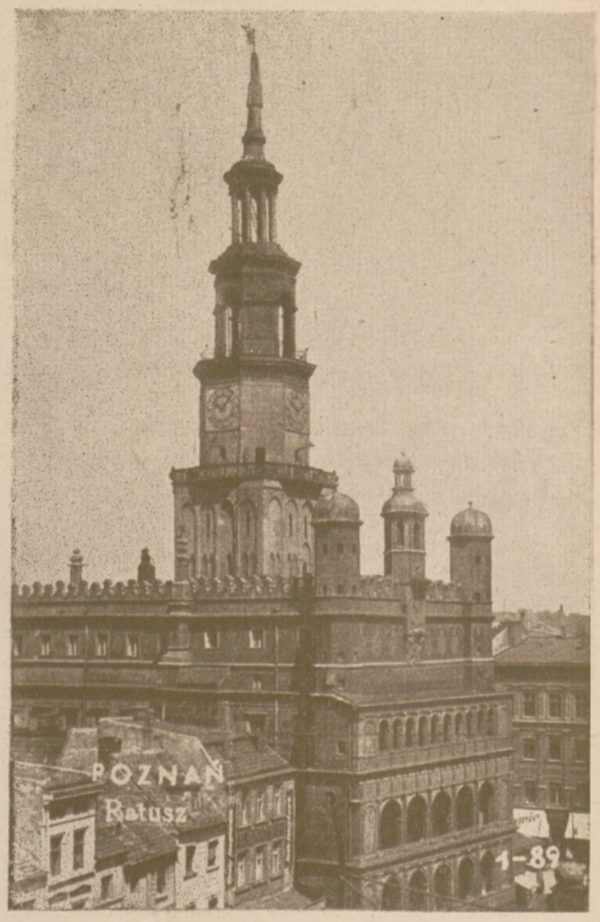
— Ten ratusz?

— Tak. Żadne miasto nie posiada tak pięknego ratusza. Ba, mówią nawet, że nasz poznański ratusz należy do najpiękniejszych budowli w Europie.

Franusiowi ratusz i miasto tak się podobały, że poprosił wujka, aby znów urządził kiedyś taką wycieczkę. Bo to bardzo przyjemnie jechać dużym tramwajem i przyglądać się domom i zabytkom!

Co by to było — pomyślał Franuś — gdyby te budowle, pomniki i drzewa umiały mówić? Opowiedziałyby tyle ciekawego o dawnych czasach i ludziach! Tymczasem stoją tak cicho... Szkoda. Chciałbym słyszeć te opowieści.

STANISŁAW STRUGAREK



CIEKAWE KSIĄŻKI

Którez dziecko w zimowy wieczór nie pragnie towarzystwa książki, tego miłego przyjaciela? Starsze dzieci czytają same, młodsze proszą rodziców lub rodzeństwo, by im poczytali i objaśnili obrazki. Tyle jest pięknych książek, nowych i dawniejszych! „Dzwonki" przypominają Wam o kilku spośród nich, które napewno przeczytacie i obejrzycie z zaciekawieniem:

Kornel Makuszyński — O wawelskim smoku. Jest to bardzo zabawna bajka z wielu barwnymi rysunkami M. Walentynowicza, którą wielki pisarz napisał w tym roku dla polskich dzieci. (Gebethner i Wolff, cena 3.50).

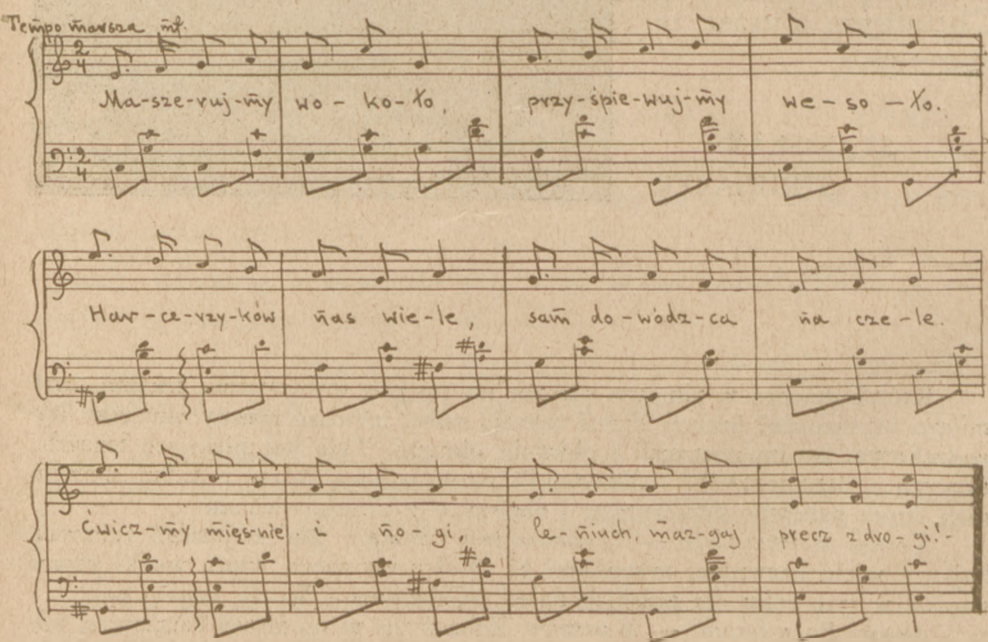
Antoni Bogusławski — Manewry. Zobaczycie w tej nowej książeczce, jak nasze dzielne wojsko maszeruje, idzie do ataku, odpoczywa, jak Jasia i Małgosię żołnierze zaprosili na podwieczorek. Obrazki A. Horowicza. (M. Arct, cena 1.20).

Zofia Rogoszówna — Wesoły ludek. 12 opowiadań dla małych dzieci z barwnymi obrazkami A. Gramatyki-Ostrowskiej. (Wyd. Zakładu Nar. im. Ossolińskich, cena 2.50).



5. MASZERUJMY

Maszerujmy wokoło,
przyśpiewujmy wesoło.
Harcerzyków nas wiele,
sam dowódca na czele.
Ćwiczmy mięśnie i nogi,
leniuch, mazgaj, precz z drogi!



Zabawa porządkowa dla dzieci od lat 4; ma ona na celu nauczyć dzieci maszerować, chodzić parami, czwórkami, rozchodzić się na komendę.

Opis zabawy. Po prześpiewaniu piosenki mogą dzieci maszerować w takt muzyki (uważać na prawidłową postawę). Ruch należy stopniować: prędzej, wolniej. Dzieci mogą biegać we wspięciu. Na znak lub klaśnięcie dzieci zatrzymują się, albo łączą parami. W czasie szybszego ruchu dzieci nie powinny śpiewać.

DRODZY PRZYJACIELE!



Ściskam bardzo serdecznie łapkę *Bronka Kuchty z Nowej Wsi*, który tak pokochał „Dzwonki". Napisz, Bronku, co Ci się w nich najbardziej podoba. Ja czytuję wszystko od deski do deski!

Chciałbym poznać te trzy pieski *Januszka Surmińskiego z Morgów!* Od razu odgadłem Twoją zagadkę: „co to jest? nie ma rąk ani nóg, a drzewami chwieje". Ale nie drukuję tutaj rozwiązania, niech inni czytelnicy też nad zagadką pomyślą. Żal mi Ciebie, że chodzisz aż trzy kilometry co dzień do szkoły. Chętnie pożyczyłbym Ci moich łapek, gdybym mógł!

Michaś Czajkowski z Poznania, który czytuje „Dzwonki" młodszym braciszkom, może mi napisze, ilu ich jest i jak się nazywają. Ściskam im wszystkim łapki. Czy oni Ci pomagali, Michasiu, robić zabawki według wzorów, które Wam posłałem w grudniu? I czy ładnie te zabawki wyglądały na choince?

Jakoś dziewczynki tym razem nie napisały ani słowa do przyjaciela Figielka. Czy to może wakacje świąteczne tak Was poważnie nastroiły, żeście nie myślały o figielkach, moje panny? A może tylko listy się spóźniły... Co prawda teraz, gdy piszę ten list, redakcja jeszcze nie wróciła z wakacji, więc może tam na mnie jakie listy czekają. Jeżeli je otrzymam, odpowiem na nie w następnym numerze!

Wasz FIGIELEK

ZGADNIJCIE!

Lubią nas zjadać świnki,
bawią się nami dziewczynki,
chłopcy robią z nas łódeczki,
a gosposie — wiewióreczki
robią sobie z nas zapasy
na zimowe ciężkie czasy.

CO TO?

Na *h* — tkwię głęboko w ścianie,
na *r* — w wodzie mam mieszkanie,
na *m* — ze mnie kwiat czerwony,
na *l* — list mną opatrzony.

J. K.

ROZWIĄZANIE ZAGADEK Z POPRZEDNIEGO NUMERU.

Co to za miasta? — Poznań, Lwów, Wilno, Warszawa.

WARUNKI PRENUMERATY „DZWONKÓW"

	poj. egzemplarze	półrocznie	rocznie
w Polsce	20 gr	2.00 zł	3.60 zł
za granicą	30 gr	3.00 zł	5.40 zł
w St. Zj. Ameryki Pn. .	—	—	1,5 dol.

Na tych samych warunkach można zaprenumerować dwutygodnik dla dzieci wyższych klas szkół powszechnych p. t. „Młody Polak". Konto P.K.O. dla „Młodego Polaka" jest inne, a mianowicie: 11.044.

Prenumeratorom, zamawiającym naraz 10 lub więcej egzemplarzy jednego numeru, dodajemy 1 egz. bezpłatnie przy każdych opłaconych 10 egz.

Adres redakcji i administracji: Warszawa, Chmielna 58. Nr. telefonu redakcji i administracji: 6-93-65. Redaktorka przyjmuje w środy od godz. 17 do 19 i w soboty od godz 12 do 14. Rękopisów się nie zwraca. Administracja czynna codziennie od 12 do 13. Konto **P. K. O. 13066.**

Redaktorka: **Maria Niklewiczowa.** Wydawca: za Stowarzyszenie Chrześcijańsko-Narodowego Nauczycielstwa Szkół Powszechnych — **Antonina Tyszkowska.**

Drukarnia Wzorowa — Warszawa, Długa 20, tel. 11-16-60

PRZYGODY FIGIELKA

(Ciąg dalszy).



Gdy minęła nocka druga,
przyszły chłody i szaruga.



Cygan w złości do Figielka:
— Potrzebna ta podróż wielka?



Siadł pod krzakiem, z gniewu sapie,
deszcz mu z liścia na nos kapie.



Figiel słodko: — Nie trać ducha!
Patrz, tu w gąszczu ścieżka sucha.



Biegną, biegną i po chwili
tor kolei zobaczyli.



Figiel się za uchem skrobie:
ach, gdyby tak jechać sobie!

(D. c. n.).